

– Bilet, poproszę.

W głosie konduktora pobrzmiwa nuta zniecierpliwienia.

– Tak, tak, już... – Gorączkowo przetrząsam kieszenie i rozglądam się po ziemi, w poszukiwaniu małego, pomarańczowego kwadracika. Czy mógł mi wypaść?

Pasażerowie w kolejce za mną czekają spokojnie, jednak czuję rosnącą irytację konduktora. Ma czarny wąs, nienaganny, granatowy mundur i migotliwe, ciemne oczy, śledzące moje nieporadne poczynania.

– Proszę pani, inni pasażerowie czekają. Proszę wrócić na koniec kolejki.

– Ale...

– Następny!

Ręce mi się trzęsą. Idę na sam koniec, mijając ludzi, z których jedni patrzą na mnie z sympatią, a inni z pewnym zakłopotaniem.

– Znajdzie się – pociesza mnie starsza pani, za którą staję. A co jeśli nie?

Jeszcze raz przeszukuję wszystkie zakamarki mojego ubrania. Biletu jak nie było, tak nie ma.

Stacja powoli pustoszeje. Ludzie kolejno wsiadają do pociągu, zajmują miejsca przy oknach. Spod lokomotywy bucha gęsta para. Za chwilę ruszą.

Znów staję przed konduktorem.

– Chyba zgubiłam bilet – mówię, głosem drżącym ze zdenerwowania. – Czy bez niego nie mogę wsiąść?

– Nie – pada krótka odpowiedź.

– A... A mogłabym dostać nowy?

– To potrwa.

– Jak długo?

Mężczyzna wzrusza ramionami. Wyciąga zza pazuchy złożoną kartkę papieru i długopis. – Proszę zapisać imię. Muszą panią jeszcze raz zweryfikować, żeby wdrożyć całą procedurę.

Posłusznie zapisuję i oddaję mu kartkę. Zerka na nią pobieżnie. Wsiada do pociągu i krzyczy: – Odjeżdżamy!

Rozlega się syk, koła pociągu idą w ruch. Lśniący pancierz drga, ożywa. Mijają mnie kolejne wagony, aż w końcu pociąg rozpędza się i po chwili znika w ciemnym wylocie tunelu. Odgłosy szybko cichną.

Siadam na ławce pod daszkiem stacji. Zostałam sama. Niebo nade mną jest bezchmurne i błękitne, słyszę śpiew ptaków. Chce mi się krzyżeć z bezsilności. Jak można być taką oferumą? Przez całe życie gubiłam parasolki, portfele, rękawiczki. Ale żeby zgubić przepustkę do Nieba? Zepsułam własną śmierć.

Jeszcze raz odtwarzam w myślach ostatnie godziny. Wpierw znalazłam się w tym jasnym, cichym miejscu – skojarzyło mi się ono z terminalem samolotowym, tylko czystszy i obszerniejszy. Grzecznie odstałam swoje w kolejce. Zebrani ludzie nie rozmawiali ze sobą, tylko podobnie jak ja, z zaciekawieniem rozglądali się dookoła. Gdy w końcu przyszła moja kolej i stanęłam przed Świętym Piotrem, odebrało mi mowę z wrażenia. Był tak dostojny, tak piękny, że wpatrywałam się w niego, nie mogąc wymówić ani słowa. Niejasno pamiętam, jak wręczał mi bilet, mówiąc: „Pilnuj go, albowiem to jest twoja przepustka do bram rajów”.

Musiałam ścisnąć go w dłoni, kiedy ruszyłam śladem innych. Schodziliśmy po wąskich, wykutych w skale schodkach, stromych i obrośniętych mchem. Wszyscy szli w skupieniu, ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć na wydeptanych stopniach.

W końcu wyszliśmy na tę niewielką stacyjkę. To zaledwie drewniana platforma z kilkoma ławkami, większym zegarem i maleńkim budynkiem dworca kolejowego. Wygląda uroczo. Dookoła nie ma żadnych zabudowań, żadnego śladu, że ktoś tu mieszka. Tylko rozległe łąki, równiny i wzgórza zarośnięte lasem.

Nagle czuję, że ktoś mi się przygląda. Podnoszę głowę i widzę wysokiego mężczyznę w kraciastej koszuli, popijającego kawę w pewnej odległości ode mnie. Przez chwilę patrzy w moją stronę, po czym gdzieś znika.

Jeszcze raz szukam biletu, wspinam się po skalnych schodkach, dokładnie oglądając każdy stopień, aż napotykam zamkniętą, kutą z żelaza bramę. Kiedy upewniam się, że mojej zguby nie ma, wracam na stację.

Siedzę na ławce, czekając. Bo co innego mogę zrobić? Należy mieć nadzieję, że konduktor szybko przekaże mój beznadziejny przypadek swoim przełożonym. Tylko kim oni są? Czy Święty Piotr jest jego przełożonym?

Po kilku godzinach bezczynności, czynię dość osobliwe odkrycie: Pomimo, że umarłam, zaczyna mi dokuczać głód. Burczy mi w brzuchu. Odzywają się też potrzeby fizjologiczne, więc zmuszona jestem skorzystać z toalety przy dworcu. Jest dla mnie pewną ulgą, że nie od razu stałam się bezcielesnym bytem, jednak narzuca to wiele pytań. Na przykład: Czy mogę umrzeć, nie jedząc?

Wieczorem na stacji zapalają się lampy. Około ósmej z budynku przy stacji wychodzi ten sam mężczyzna, który wcześniej mi się przypatrywał. Rzuca mi spojrzenie z ukosa.

– Nadal tu jesteś? – pyta, zaciągając się papierosem.

– Pociąg odjeżdża stąd tylko raz dziennie.

– Dlaczego nie wsiadłaś z innymi?

– Zgubiłam bilet.

Mężczyzna krztusi się dymem i wybucha śmiechem, zanosząc się przy tym kaszlem. Patrę na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Wcale nie wydaje mi się to zabawne.

– Wybacz. To absurdalne.

Mężczyzna jest szpakowaty, lekko łysiejący, o pociągłej twarzy i kanciastych ramionach. Nie najmłodszy, ale jeszcze nie stary. Patrzy na mnie bystro znad szkieł okularów.

– I co teraz?

– Nie wiem. Czekam.

– To czekaj wewnątrz – mężczyzna wskazuje ruchem głowy budynek za nami. – Tam jest coś na kształt herbaciarni, niczego sobie. Dają dobrze zjeść.

Jestem tak głodna, że nie opieram się zbytnio. Wchodzę za nieznanym do wnętrza, pogrążonego w półmroku. Herbaciarnia, jak ją nazwał mężczyzna, jest nawet gustowna. Stoją tu stoły, stoliki, krzesła, stołki, skrzynie, beczki i ławy najróżniejszych rozmiarów i gatunków, jednak wszystko to tworzy spójną całość. Na półkach wyeksponowano talerzyki z chińskiej porcelany, a regały wypełniono po brzeg książkami – z tego co widzę, głównie poezją. Ze ścian patrzą na nas czarno-białe fotografie w ramkach, zawieszono portrety, stare mapy. Na kominku tli się ogień.

– Zamawia się przy kontuarze – wyjaśnia mężczyzna. – Jest samoobsługa.

Chrząka głośno i chwilę później z zaplecza wychodzi kobieta koło pięćdziesiątki, z krótko ostrzyżonymi włosami i trochę kwaśną miną.

– Co podać? – pyta, opierając się o ladę.

– Dla mnie lampkę czerwonego wina i wiśniowy sernik. Podwójny. A dla tej pani...

– Kanapkę z szynką i sałatą – wtrącam. – I herbatę, proszę.

– Nie żałuj sobie – mówi mężczyzna. – Mają tu przepyszne ciasta.

– Dziękuję, ale staram się dbać o linie.

– Nawet tutaj? Już umarłaś, nie odmawiaj sobie.

– Myśli pan, że tu można przytyć?

Potrząsa głową. – Kobiety... – mruczy.

Kobieta bez słowa podaje nam talerzyki. – Herbatę zaraz przyniosę.

– Nie trzeba zapłacić? – upewniam się. Barmanka patrzy na mnie ze znużeniem. – Bierz kanapkę, złotko. Wszystko na koszt Pana.

– Och – zerkam w stronę mężczyzny. – Dzięki.

– Nie mnie – uśmiecha się z politowaniem. Robi nieokreślony ruch w powietrzu. – Pana.

Siadamy przy stoliku w rogu. Nieznajomy od razu zabiera się za swój sernik.

– To dziwne – mówię. – Wcale nie czuję się inaczej niż za życia.

– Bo jeszcze nie jesteśmy po tamtej stronie. W każdym razie nie do końca. To miejsce wcale się tak nie różni od naszego świata.

– Długo pan tu już jest?

– Jakiś miesiąc.

– Ale nie zgubił pan biletu?

– Nie – kącik ust mu drga. – Nadal go mam.

– Więc co tu pana trzyma?

Mężczyzna wyciera usta serwetką, puszczając moje pytanie mimo uszu. Wyciąga do mnie dłoń.

– Nie przedstawiłem się. Leonard.

– Anna.

– Młoda jesteś, Anno. Co się stało?

– Powikłanie po grypie.

– Bezsensowne.

– Tak, trochę tak. Najpierw było przeziębienie, potem zapalenie mózgu, no i w końcu śpiączka.

Może to dziwne, ale nie mówię o własnej śmierci z przykrością. Po prostu, stało się.

– A u pana?

– Wypadek samochodowy.

Kiwam głową. – Przykro mi.

Pani zza kontuaru przynosi moją herbatę. Dziękuję, a gdy odchodzi, pytam ściszym głosem: – A ona?

Leonard wzrusza ramionami. – Nie wiem. Nie jest zbyt rozmowna. Gdy się tu pojawiłem, pracował tu jeszcze facet. Pewnego dnia odjechał jednak z innymi, a ona zajęła jego miejsce. Może to wolontariusze.

Po kolacji dowiaduję się od Leonarda, że na górnym piętrze jest kilka wolnych pokoi. Dostaję od barmanki klucze do sypialni z widokiem na rozległy sad na tyłach herbaciarni. Leonard ma pokój na drugim końcu korytarza, z którego widać pustą stację kolejową. On sam życzy mi dobrej nocy i schodzi na dół, żeby zapalić.

Oprócz łóżka i biurka, w mojej sypialni stoi też szafa pełna ubrań. Przebieram się w piżamę i siadam w

otwartym oknie. Ciepłe, letnie powietrze niesie zapach nagrzanej ziemi i kwitnących drzew. W zadumie przysłuchuję się cykaniu świerszczy. Mieszkałam w mieście, więc rzadko miałam szansę nacieszyć się ciszą. Ta cisza żyje, żyje życiem tysięcy małych stworzeń, leniwym życiem roślin i tajemniczym życiem owadów.

To smutne: Szum samochodów, wycie klaksonów i pijackie śpiewy z pubu pod moim mieszkaniem znam na pamięć. Nie potrafiłabym jednak nazwać ptaka, który samotnie wyśpiewuje swoją melodię w ciemności nocy. Nie wiem, czy to szumią drzewa czy trawy.

Kładę się do łóżka i zasypiam, zasluchana i urzeczona.

Gdy następnego ranka schodzę do herbaciarni, zastaję Leonarda, kończącego właśnie śniadanie.

– Dzień dobry – wita mnie. Wskazuje na swój talerz. – Polecam kielbaski i jajecznicę. Wyborne.

– Ranny z pana ptaszek – zauważam.

– Za chwilę przyjeżdża pociąg.

– Przecież i tak pan nie wsiada.

Wzrusza ramionami. – Lubię popatrzeć. Lepiej się pospiesz. Może dowiesz się czegoś o twoim bilecie.

Szybko zjadam więc śniadanie i wychodzimy na zalany słońcem peron.

Po skalnych schodkach schodzą już ludzie. Na stacje wtacza się pociąg, wysiada konduktor i zaczyna sprawdzać bilety. Czekam, aż wszyscy wsiądą, żeby wtedy dopytać się o nowe wieści w mojej sprawie. Gdy się obracam, aby powiedzieć coś do Leonarda, dostrzegam wyraz jego twarzy.

Nie ma na niej zwykłego pobłażliwego uśmiechu. Jest poważna i skupiona. Jego oczy, jasnoniebieskie w świetle poranka, poruszają się za okularami, kogoś wypatrując. Lustruje twarze ludzi, wsiadających do pociągu. Machinalnie zaciska i rozprostowuje palce lewej dłoni.

Napięcie ulatuje z niego jednak, gdy w kolejce zostaje już tylko kilka osób. Wpycha ręce do kieszeni i znów się uśmiecha, trochę gorzko.

– Przepraszam! – wołam do konduktora, zanim zdąży zniknąć we wnętrzu pociągu. – To ja, Anna. Wczoraj zgubiłam bilet. Czy już coś wiadomo?

– Trzeba czekać – dostaję odpowiedź.

– A wie pan może...

– Odjeżdżamy!

Konduktor znika w pociągu. Rozlega się syk pary, terkot kół, a po chwili ostatni wagon znika w tunelu i nastaje cisza.

– Nie tak sobie wyobrażałam aniołów – wyznaję.

– Sądzisz, że to anioł? One chyba nie mają wąsów.

Niepocieszona, odwracam się i patrzę w niebo.

– Chodźmy na spacer – proponuję Leonardowi. – Jest taka ładna pogoda.

Idziemy przez łąki, wystawiając twarze do słońca. Trawa łaskocze mnie w kostki.

Leonard sięga do kieszeni i wyjmuję paczkę papierosów. Klnie, gdy okazuje się, że jest pusta. – Szlag. Skończyły się. A tutaj nigdzie nie można ich kupić. Dostałem od jednego z pasażerów kilka dni temu.

– To dobrze. Da pan płucom odpocząć.

– Nie znoszę, gdy się mnie uszczęśliwia na siłę – burczy. Przygląda mi się, jakby starając się mnie rozgryźć. – Za życia pewnie byłaś dietetyczką, albo czymś w tym rodzaju, co?

– Nie – zrywam kilka źdźbeł trawy i owijam je sobie wokół palca. – Pracowałam w biurze rachunkowym.

– To okropne – mówi Leonard z taką powagą, że mimowolnie się uśmiecham.

– Nie było okropne. Fakt, to nie była praca moich marzeń. Gdybym wiedziała, że utknę tam na tyle lat, nigdy bym się o nią nie ubiegała. Ale potem tata zachorował i przyszło mi więcej pracować z domu. Moje biuro na to przystało. Żadna inna firma nie poszłaby mi tak na rękę. Kiedy już umarł, bałam się złożyć wypowiedzenie. Owszem, ciągle myślałam o tym, żeby zacząć robić coś innego. Ale nigdy nie znalazłam odwagi.

Przez chwilę milczę.

– Tak naprawdę, to teraz myślę, że dużo rzeczy zrobiłabym inaczej.

– Na przykład?

– Na przykład kupiłabym ogródek. Po prostu kawałek ziemi, na której mogłabym sadzić pomidory i ogórki.

– Bo nie tuczą?

– Nie... Bo to chyba duża radość, patrzeć, jak coś rośnie.

– Ziemia nie jest tania.

– Miałam trochę oszczędności. Niewielki spadek po rodzicach. Zamiast tego kupiłam auto. I po co, jeśli moja praca była kilka przecznic dalej?

Leonard patrzy gdzieś w dal, zadumany.

– Twój tata długo chorował?

– Prawie rok.

– I jak ci z tym było?

– Czasami ciężko. Zajmowałam się nim praktycznie sama. Na końcu był już jak dziecko. Bardzo duże i ciężkie dziecko. Ale tak przynajmniej mógł spędzić ostatnie chwile w domu, a nie w hospicjum.

– A reszta rodziny?

– Mama już wtedy nie żyła. A siostra i brat... No wie pan, mieli swoje sprawy.

W mojej rodzinie byłam dzieckiem, na które nikt nigdy nie stawiał; najmłodsza z trójki rodzeństwa i w powszechnej opinii najmniej obiecująca. Mój starszy brat w dzieciństwie był utalentowanym sportowcem. Doskonale się uczył, dostał się do znakomitego uniwersytetu. Został neurochirurgiem, teraz jeździ po kraju i daje wykłady. Moja siostra z kolei założyła wraz z mężem firmę ubezpieczeniową, świetnie prosperującą. Włożyła w nią dużo czasu i wysiłku, nieludzko harowała. Nigdy nie rozstawała się z komórką, nawet na obiadach rodzinnych, na których spotykaliśmy się jeszcze za życia mamy. Leżała na stole, spoczywała w jej dłoni, wystawała z otwartej torebki. Jest wpisana w mój obraz siostry; nawet gdy o niej śnię, w pewnym momencie wymownie wzdycha i odbiera telefon od klienta.

Gdy tata zachorował, mama nie żyła już od pięciu lat. Opieka nad nim spadła na mnie w sposób zupełnie naturalny i oczywisty. Przejęłam ją bez skargi. Brat i siostra byli zapracowani, mieli na głowach własne rodziny. Ja miałam najmniej do stracenia. Być może czasem czuli się trochę głupio, bo regularnie pytali, czy nie potrzebuję pieniędzy. Kilka razy w tygodniu dzwonili, żeby zapytać o stan zdrowia taty. Pewnego razu moja siostra przywiozła zupę, którą sama ugotowała, choć marna z niej była kucharka. Była z siebie taka dumna! Niosła ojcu tę zupę z miną, jakby samo zjedzenie jej miało wyleczyć go z choroby. Z trudem powstrzymywałam się od śmiechu, kiedy jadł bez słowa, starając się za bardzo nie krzywić.

Wtedy jeszcze nie miałam auta, ale mieszkałam na tyle blisko domu rodziców, żeby dojeżdżać busem. Kiedy z tatą było już gorzej, wprowadziłam się na stałe. Nie mógł sam chodzić do toalety, miał trudności ze wstawaniem z łóżka. Karmiłam go, ubierałam, zmieniałam pieluchy. Pocieszałam, kiedy płakał z bezsilności. Nie byliśmy sobie najbliżsi, ale było mi go żal. Kiedy zmarł, wyprawiliśmy mu skromny pogrzeb. Siostra i brat wygłosili kwieciste przemowy, w których mówili o ojcu w samych superlatywach. Słuchając ich, dziwiłam się, czy mamy na myśli tego samego człowieka; dzieciinniałego, humorzastego i burkliwego. Moja mowa wypadła przy tym bardzo skromnie, można by mnie wręcz posądzić o nieczułość. Widziałam pełne wyrzutu spojrzenia krewnych, ale nie przywiązywałam do nich wagi. Miałam w stosunku do siebie czyste sumienie.

Głos Leonarda wrywa mnie z zamyślenia.

– Byłaś mężatką?

– Nie. A pan, był pan żonaty?

– Dwukrotnie. I dwukrotnie rozwiedziony. Niby mówi się do trzech razy sztuka, ale śmierć pokrzyżowała mi plany.

– Przynajmniej nie brakło panu wrażeń.

– Och, zdecydowanie nie. Piekło to nic przy dwóch byłych żonach.

Następne dni mijają w podobnym rytmie. Z rana jemy śniadanie i idziemy na stację. Potem czytamy, chodzimy na spacer po okolicy, zrywamy owoce w sadzie, albo po prostu leżymy w słońcu. Wieczorami grywamy w szachy. Przegrywam za każdym razem, jednak żadnemu z nas to nie przeszkadza. Jest to raczej pretekst do rozmowy.

– Kim pan był? – pytam pewnego wieczoru. – Profesorem?

– Pisarzem i dziennikarzem. Do licha, naprawdę kochałem tę pracę.

– O czym pan pisał?

– O wszystkim, co mnie wkurzało. Chciałem tą złością zarazić moich czytelników. Moim wydawcom chyba się to podobało, mówili, że mam „cięte pióro”.

– Nie wiedzieli, że jest pan po prostu draniem.

– Może i drań, ale z nas dwojga, to ja mam przepustkę do nieba.

Uśmiecham się, ale robi mi się ciężko na sercu. Nadal męczy mnie niepewność, a na pytania kierowane do konduktora, nie uzyskuję żadnej jednoznacznej odpowiedzi.

Leonard widzi we mnie zmianę, bo dodaje łagodniej: – Znajdą ci w końcu nowy bilet. Nie martw się.

– Tak, wiem – wzdycham i bezmyślnie przesuwam pionek po szachownicy. Od razu zostaje zbity przez gońca Leonarda, jakby tylko na ten ruch czekał. – Wie pan co? Umarłam, tak jak żyłam: zupełnie banalnie.

– No, chyba nie było tak źle.

– Nie. Było nijak. Nie żałuję tego, że umarłam. Za to żal mi, że tak naprawdę nie żyłam, kiedy jeszcze mogłam. W ciągu czasu spędzonego tutaj, coraz bardziej zdaję sobie sprawę z tego, ile rzeczy mnie ominęło.

– Zamów sobie w końcu ciastko – radzi Leonard. – Nie namawiam cię do hedonizmu, ale od tego sernika naprawdę nie przytyjesz. A może poprawi ci humor.

– Wie pan co? Zamówię.

– No to zaszalejmy – Leonard pstryka palcami i obraca się w stronę kontuaru. – Hej, dobra pani! Czy macie jeszcze trochę tego wiśniowego sernika? I może butelkę wina. Anna zaczyna dziś życie od nowa, trzeba to oblać.

Gdy pijemy wino, Leonard zapatruje się w ogień na kominku. – To zabawne, Anno. U mnie jest dokładnie na odwrót. Ja najbardziej żałuję tego, że umarłem.

– To dlatego nie chce pan jechać dalej? Boi się pan tego, co jest po drugiej stronie?

– Nie. Nie dlatego.

Leonard nie chce mi powiedzieć, dlaczego koczuje na tej stacji. Unika wszelkich pytań, a ja nie naciskam, bo to w sumie nie moja sprawa. Rada jestem, że nie muszę tu czekać sama, albo – prawie sama, bo w końcu jest tu też burkliwa barmanka. Ona jednak w dużej mierze nas ignoruje, zajmując się własnymi sprawami.

Być może wypite wino rozwiązuje Leonardowi trochę język, bo dodaje: – Nie boję się śmierci. Po prostu przyszła w niewłaściwym momencie.

– A istnieje właściwy moment?

– Nie. Ale istnieją właściwsze.

Rankiem idziemy na stację i siadamy na ławce, kończąc nasze tosty. Nadchodzą ludzie, ustawiają się w kolejce. Leonard przygląda się im, ja patrzę z nadzieją w stronę konduktora, który tylko kręci głową. Zrezygnowana wskazuję na mój talerz. – Chciałby pan może tosta?

Konduktor ignoruje mnie. Nagle czuję, jak Leonard podrywa się z ławki ze zdumiewającą szybkością. Talerz spada mu z kolan i z brzękiem rozbija się na kawałki.

– Meggie? – Leonard kilkoma susami doskakuje do kilkuletniej dziewczynki, stojącej w kolejce. Łapie ją za ramiona, a na jego twarzy maluje się taka radość, jakby nie mógł uwierzyć, w to, co widzi. Dziecko patrzy na niego bez słowa, jakby zdziwione. Po chwili Leonard puszcza je, a uśmiech znika z jego twarzy.

– Przepraszam, pomyliłem cię z kimś.

Podnosi się z kolan i bez słowa znika we wnętrzu herbaciarni.

Zaskoczona przyglądam się dziecku, które w końcu też wsiada do pociągu. Po chwili otwiera się okno w pokoju Leonarda. On sam opiera się o parapet i zaczyna jeść czereśnie, plując pestkami w pasażerów. Ludzie patrzą w jego stronę z oburzeniem, ale on nic sobie z tego nie robi.

Nie spotykam go na obiedzie, a wieczorem nie zjawia się, żeby zagrać ze mną w szachy. Gdy po kolacji pukam do jego pokoju, odpowiada mi cisza.

– Leonardzie, otwórz proszę.

Brak odpowiedzi.

– Przyniosłam ci papierosy.

Drzwi po kilku sekundach otwierają się. Leonard staje w nich z nieruchomą twarzą.

– Masz papierosy?

– Nie – przyznaję. – Tutaj chyba ich nie sprzedają. Ale niech pan nie zamyka drzwi!

Wchodzę za nim do ciemnego pokoju. Jedyne światło to to, padające z peronu. Leonard staje przy oknie, odwrócony do mnie plecami.

– Czeka pan na kogoś, prawda? – pytam cicho.

Leonard wpiernik nie reaguje. Dopiero po chwili odpowiada:

– Czekam na córkę.

– Och – zagryzam wargę. – A dlaczego nie poczeka pan na nią po drugiej stronie?

– Meggie boi się pociągów. Widziała kiedyś jakiś film o katastrofach kolejowych. Jeśli pojedę z nią, będzie jej łatwiej. Inaczej mogłaby nie wsiąść.

– Ile lat ma pana córka?

– Cztery.

Milczę. Wyliczam, ile lat żyje przeciętnie kobieta w ciepłarnianych warunkach 21. wieku. Zakładając, że nie wybuchnie żadna wojna, ani epidemia. – Może pan tu dłużej zabawić.

– To nie potrwa już długo. Meggie ma raka. Może się tu zjawić lada dzień.

Widzę, jak trzęsą się jego ramiona i wiem, że płacze. Podchodzę do niego i głaszczę go po plecach. Jest mi go żal. Śmierć dziecka zawsze jest trudna. Nawet po tej stronie.

Kwadrans później siedzimy w herbaciarni. Barmanka co prawda gdzieś zniknęła, ale żadne z nas nie jest specjalnie głodne.

– U Meggie zdiagnozowano guza mózgu, kiedy miała trzy latka. Lekarze nie dawali jej prawie żadnych szans na to, że wyzdrowieje. Przez ostatnie miesiące praktycznie mieszkalem z nią w szpitalu, zabawiałem ją, wymyślałem historyjki, żeby się nie bała. Ja sam codziennie umierałem. Zaklinałem Boga, modliłem się, płakałem.

Urywa i zaciska szczękę.

– Pewnego dnia, pojechałem do redakcji, omówić coś z moim wydawcą. Był niezadowolony, że tak mało piszę. Strasznie się spieszyłem. Byłem już spóźniony, a przedtem chciałem jeszcze zajrzeć do córki. Zadzwoił telefon. Naszło mnie jakieś złe przeczucie, bałem się, że to ze szpitala. Że... że może Meggie się pogorszyło albo coś. Sięgnąłem po telefon i następane co pamiętam, to ryk klaksonu i ciężarówka, wbijająca mi się w bok.

– I co potem? – pytam szeptem.

Leonard patrzy na mnie z ironią. – Umarłem.

– Och. I nie pamięta pan żadnego przejścia, bólu?

– Zupełnie nic. Musiałem zginąć na miejscu – między brwiami Leonarda pojawia się zmarszczka. – Umarłem, zanim zdążyłem wyprowadzić Meggie na drugą stronę. Potrzymałem ją za rękę, uspokoiłem. Powiedziałem, że ją kocham.

– Nie mówił jej pan tego nigdy?

– Mówiłem...

– Więc wie – mówię z przekonaniem. – Na pewno to czuła. Dzieci są w tych sprawach o wiele wrażliwsze od dorosłych.

Leonard wygląda, jakby chciał rzucić jakąś ironiczną uwagę, ale ostatecznie powstrzymuje się. Patrzy na mnie, już bez wszelkiej kpiny.

– Jesteś tak cudownie nieskomplikowana, Anno.

– To chyba nie jest komplement.

– To jak najbardziej jest komplement. Nie komplikujesz tego, co wcale nie jest skomplikowane. Pamiętasz główną bohaterkę „Fargo” braci Coen?

Ze śmiechem uchyla się przed moim ciosem.

Dzień później następuje coś niezwykłego. Rankiem wychodzę z Leonardem na stację i zwyczajowo czekamy. Jednak tym razem, konduktor podchodzi do mnie, zanim zdążę go o cokolwiek zapytać.

– Mam dla pani wieści – oznajmia.

Serce przyspiesza mi w piersi. – Dobrze?

– Nie mnie to ocenić. Otóż, zaszła pewna pomyłka.

– Jaka pomyłka?

– Miałaś jednak trafić do piekła – żartuje Leonard, ale nagle sam się przeraża własnymi słowami i poważnie. Ja sama z napięciem wpatruję się w niewzruszone oblicze konduktora.

– Nie o to chodzi. Pani nadal leży w śpiączce. Jeszcze pani nie umarła. Teraz wybór należy do pani.

Patrzę na niego, nie rozumiejąc ani słowa.

– Jaki wybór?

– Czy pani wraca, czy jedzie dalej.

Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

– Wracać... To znaczy... Na Ziemię?

– Oczywiście. Brama będzie otwarta, jeśli się pani zdecyduje. Święty Piotr panią przepuści.

– I... Jak by to wyglądało? Po prostu się obudzę w szpitalu?

– Tak jest.

– I nie będę sparaliżowana? To znaczy, będę zdrowa?

– Sądzę, że czeka panią rehabilitacja. Ale mózg jest nienaruszony. Ma pani duże szanse. Jeśli jednak zdecyduje pani inaczej, to tutaj mam pani bilet – sięga za pazuchę i unosi pomarańczowy kartonik.

Wpatruję się w niego jak zaczarowana. W końcu odwracam się do Leonarda, który uśmiecha się do mnie, choć jest to trochę melancholijny uśmiech.

– Nie wahaj się. Śmierć i tak cię nie ominie.

– Chyba, że znowu zgubię bilet.

Leonard chichocze, a ja też się śmieję, choć jestem w szoku. Nagle umieranie wydaje mi się bardzo odległe i bardzo nieodwracalne.

– Jak rozumiem, zamierza pani wrócić – kwituje konduktor. Dotyka czapki i odchodzi do pasażerów.

– Chodź – Leonard kładzie mi dłoń na ramieniu. – Odprowadzę cię do schodków.

Oddalamy się od malejącej kolejki i zmierzamy w kierunku skały. Gdy stajemy u podnóża, wpatrujemy się w siebie bez słów, z uśmiechem w oczach.

To dziwne: nie znalazłam tam, na Ziemi, nikogo, kto by mnie na niej trzymał. A jednak znalazłam taką osobę tutaj – na małej stacji kolejowej, zawieszanej między dwoma światami.

– Znowu będzie pan tu sam – mówię wreszcie.

– Nie żartuj. A co z recydywistką z herbaciarni?

– No tak. Proszę ją pozdrowić.

– W porządku.

– Nie chcę tu pana zostawiać.

– Nie bądź niemądra. Czekają na ciebie pomidory i ogórki.

Wrywa mi się westchnienie. Rozglądam się z pewną nostalgią po tym zielonym, spokojnym światku. – Dobrze, że tu trafiłam. Miałam czas pomyśleć o ważnych sprawach.

– To miłe miejsce – przyznaje Leonard. – Choć bez ciebie będzie mi się tu nudzić. Nie będę miał z kim wygrywać w szachy. Ale przecież jeszcze się zobaczymy.

Czuję ukłucie niepokoju.

– A co jeśli o tym wszystkim zapomnę?

– Ja nie zapomnę. Znajdę cię.

Robi mi się trochę lżej na sercu. Wyciągam do niego dłoń. Ściska ją, długo i serdecznie.

Wspinam się po schodkach, gdy wpada mi jeszcze jedna myśl. Odwracam się i wołam:

– Leonardzie! Jak nazywa się szpital, w którym leży twoja córka?

Leonard przyklada dłoń do ust i odkrzykuje mi.

Z góry widzę, jak pociąg rusza z peronu. Przechodzę przez bramę, która tym razem jest otwarta. Pochłania mnie biel.

Lekarze rozkładają ręce. Twierdzą, że to cud. Nie ma innego wytłumaczenia na to, co stało się w sali numer dziewięć. Medycyna rozkłada ręce w obliczu takich przypadków. Przed szybą zebrał się prawie cały oddział, by w milczeniu przyglądać się, jak dziewczyna, która kilka dni temu wybudziła się ze śpiączki, teraz spokojnie zajada sernik.

Zostaję wypisana kilka tygodni później.

Pierwsze co robię, to znalezienie adresu szpitala, w którym powinna leżeć Meggie. Tego samego dnia, jadę ją odwiedzić.

Znajduję ją w jasnej sali, gdzie leży, podłączona do płataniny rurek i maszyn, podtrzymujących ją przy życiu. Siedzi przy niej jakaś szczupła blondynka, pewnie jej mama.

– Dzień dobry – mówię szeptem.

– Dzień dobry – Kobieta podnosi na mnie oczy ze zdziwieniem.

– Nazywam się Anna. Jestem przyjaciółką Leonarda. Czy mogłabym chwilę porozmawiać z Meggie?

– Tak – Kobieta wstaje, przesuwa dłonią po zmęczonej twarzy. – Jest bardzo słaba. Nie wiem, na ile zrozumie to, co pani do niej mówi.

Zostawia nas same. Siedzę przy łóżku dziewczynki, bladej jak ściana i bardzo chudziutkiej. Przypatruję jej się uważnie. Ze wzruszeniem odkrywam w jej twarzy rysy Leonarda.

Opowiadam jej o tym, że spotkałam jej tatę. Że czeka na nią na małej stacji kolejowej, gdzie codziennie zamawia wiśniowy sernik i lampkę wina. Bardzo za nią tęskni. Mówię też o herbaciarni, o konduktorze w granatowym mundurze z błyszczącymi guzikami i o szachach. Meggie nic nie mówi, ale słucha mnie. Jej pierś ledwo się unosi przy oddychaniu.

Gdy w końcu zasypia, wychodzę z sali. Jej mama, czekająca pod drzwiami, zagaduje mnie szybko: – A więc znała pani Leonarda? Meggie bardzo przeżyła jego śmierć.

Idziemy razem na kawę. Wbrew temu, co mówił Leonard, mama Meggie okazuje się być przemiłą kobietą. Na koniec wymieniamy się numerami i żegnamy jak stare przyjaciółki. Wyznaje mi, że po raz pierwszy spotkała kogoś, kto zdaje się rozumieć, jak to jest, gdy ktoś bliski odchodzi.

Meggie umiera kilka dni później. Dostaję SMS-a od jej mamy, informującego mnie, że odeszła we śnie, tuż przed świtem.

Przez chwilę jest mi smutno. Ale zaraz wyobrażam sobie, jak Leonard wychodzi na stację, wypatrując Meggie. Jak w końcu dostrzega ją w tłumie, biegnie do niej i pochwytuje w ramiona, śmiejąc się głośno. I jak razem wsiadają do pociągu, nie oglądając się za siebie.

Idę na rozmowę o pracę, zadumana, ale spokojna. Wydaję mi się, że zrobiłam dobre wrażenie. Zapowiedzieli, że odezwą się do mnie w najbliższych dniach.

Po południu wyjeżdżam poza miasto, aby obejrzeć działkę, znaną w ogłoszeniu. Siedzę właśnie w busie (jako że auto sprzedałam kilka dni wcześniej), gdy podchodzi do mnie kontroler.

– Bileciki proszę.

Przeszywa mnie nagły dreszcz przerażenia. Jezu, zapomniałam kupić bilet. Zaczynam się trząść.

– Przepraszam pana bardzo – mówię. W gardle nagle mi zaschło. – Ja... Za-zapomniałam.

– Zapomniała pani kupić? W takim razie będzie kara – konduktor pokazuje mi rachunek. – Gotówką czy kartą?

Patrzę na rachunek i dopiero po chwili przerażenie mnie opuszcza. Wybucham śmiechem. Kontroler patrzy na mnie jakbym zwariowała, ale ulga jest zbyt silna, abym mogła się powstrzymać. Wciąż chociaż, odliczam kwotę i serdecznie mu dziękuję.

Kontroler oddala się szybkim krokiem, rzucając mi przez ramię dziwne spojrzenie. Można by pomyśleć, że zobaczył ducha.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

amethia, dodano 28.02.2019 11:18

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.